

Perfidny Albion i dokończenie eurazjatyckiej wojny domowej

1 lipca 2019

Czego nie mówi się w Polsce o historii II wojny światowej?

Jednym z największych braków w polskiej refleksji historycznej, cywilizacyjnej i geopolitycznej – pozostaje niemal całkowite ignorowanie roli Anglosasów w planowaniu, przygotowaniu i wywołaniu obu wojen światowych, a następnie w prowadzeniu ich aż do uzyskania konkretnych celów, o znaczeniu daleko wykraczającym poza powierzchownie opisywane bieżące rozgrywki mocarstw. W tym właśnie kontekście należy widzieć całokształt anglosaskiego dążenia, by do dokończenia wojny światowej lat 1914-1945 w ogóle doszło – co również powinno być bardzo pouczające dla Polaków, skoro to właśnie nas użyto do wznowienia tego globalnego konfliktu.

Upadły Anioł Pokoju

Jak wielka była determinacja brytyjskich elit – widać choćby na przykładzie z zakresu (pozornie...) polityki wewnętrznej Wielkiej Brytanii. Oto przywódcy kraju woleli bowiem zafundować sobie kryzys konstytucyjny, byle wymusić odejście z tronu człowieka naiwnie przekonanego, że jest w stanie uratować pokój europejski (by móc zająć się nadaniem Zjednoczonemu Królestwu cech „normalnego” państwa, ukierunkowanego na rozwiązywanie nabrzmiałych całymi wiekami problemów społecznych – a nie nosiciela dla pasożytującej międzynarodowej finansjery). Obalenie Edwarda VIII było zatem nie tyle punktem zwrotnym (jako polityk nie miał on bowiem żadnych szans w starciu z City i Wall Street razem wziętymi), co znacznikiem, który pokazał przyspieszenie odliczania do wojny o kolejny krok przybliżającej depatryzację świata.

Oczywiście, jedyny wart uwagi król Brytanii nie był żadnym

Aniołem Pokoju, politykiem też okazał się przegranym. Ba, był chyba jedynym człowiekiem nie chcącym przyjąć do wiadomości... przyrodzonej roli monarchii brytyjskiej – podobnie jak Kościół Anglikański mającej tylko zapewniać samozadowolenie angielskiej klasy średniej z utrzymywania w korbach klasy niższej, ku prosperity City i klasy wyższej. Chciał dwóch rzeczy, których chcieć nie miał prawa – brytyjskich rządów nad Brytanią i pokoju. W obu tych sprawach próbował iść przeciw interesowi światowej klasy rządzącej, dlatego musiał odejść. I tak miał zresztą szczęście. Ci, którzy przed nim chcieli ocalić Europę (jak arcyksiążę Franciszek Ferdynand i... Rasputin) polegli w wojnie z finansjerą i Oceanem. Edwarda VIII postanowiono jednak zabić dotkliwiej – mordując pamięć o nim.

Jednym z elementów zniesławienia króla bez korony jest przedstawianie go (zwłaszcza w formie popularnej, także we wszelkiej maści historiach alternatywnych) po prostu jako kolaboranta, w najlepszym (?) razie kandydata na „angielskiego Quislinga” itp. Faktycznie, nieprzypadkowo to z osobą księcia Windsoru swe naiwne nadzieje na modus vivendi z Albionem wiązali też przywódcy niemieccy. Tymczasem pasożyt od XV już wieku żerujący na ciele Anglii chciał wielkiej rozgrywki – i doskonale wiedział do czego i dla czego zmierza, bodaj zresztą jako jedyny z graczy. W grze tej zaś umiejętnie posługiwał się tak groźbą i zachętą do wojny (jak rzucając na stół polską błotkę), jak i łudząc pokojem czy wreszcie w dogodnym dla siebie momencie wykonując pełnowymiarowe operacje militarne.

Polska podrzucona przez Anglików jako ser w pułapce na Niemcy to sprawa już jakoś znana i opisana, spójrzmy więcej teraz na dwa inne ilustracyjne epizody II wojny, których rocznice niedawno obchodzono – w nader odmiennym zresztą stylu i klimacie: atak Niemiec na ZSRR i lądowanie aliantów zachodnich w Normandii.

Parteigenosse Hess wykonał zadanie

Decyzja o napaści na ZSSR była z punktu widzenia Hitlera samobójstwem (opowieści o „ataku uprzedzającym” to bajki wprost z kuchni Goebbelsa, powtarzane dziś przez ignorantów historii wojskowej i dezinformatorów pokroju Rezuna[1]). Jedno z najważniejszych dla historii nowożytnej pytań brzmi więc: Co skłoniło Führera, by (nie pomny doświadczeń Wielkiej Wojny) znowu zdecydował się walczyć na dwa fronty? Jedną z hipotez na ten temat, jest wątpliwość wobec zdarzenia o kilka tygodni wcześniejszego, sprowadzająca się do kolejnego pytania: Czy misja Hessa rzeczywiście tylko „się nie powiodła” – czy przeciwnie, udała się w myśl wszystkich zamierzeń Hitlera, wciągając jednak III Rzeszę w śmiertelną pułapkę brytyjską?

Historycy są dziś zgodni, że spalenie dokumentów, z którymi Hess przyleciał na Wyspy to tylko... dym, a Churchill i decydenci Wielkiej Brytanii poznali istotę propozycji Hitlera (dowodzącej jego bezbrzeżnej naiwności i braku zrozumienia sensu wojny, którą niby to „wywołał”). Sprowadzała się ona do gwarancji nienaruszalności Imperium, a nawet obietnicę przyszłego podziału wpływów – w zamian za nawet tylko praktyczną neutralność w wojnie niemiecko-radzieckiej. Oficjalną wersję znamy – Brytania rozmów nie podjęła, Führer zdezwuował swojego nr 3 itd. No dobrze, ale czemu w takim razie Rzesza zaryzykowała? Tłumaczenie wykonania Barbarossy (tylko) szaleństwem Hitlera oczywiście jest możliwe – ale co najmniej możliwe było też zaistnienie scenariusza alternatywnego. Co bowiem, jeśli w rzeczywistości Hess ZAWARŁ tę swoją ukochaną ugodę z Albionem[2], informacja o tym w jakiś umówiony sposób dotarła do Berlina, Wehrmacht ruszył – a potem zostało tylko powtarzanie „Gott strafe England”? Po raz kolejny...

Jasne, to tylko teoria spiskowa, dla Polaków mająca jednak wymiar podwójnie edukacyjny. Po pierwsze – podkreślając znowu, że (geo)polityka to z jednej strony plany ukryte w planach, a

z drugiej TYLKO interesy. I to interesy strategiczne, rozpisane nawet nie na dekady, ale całe trendy cywilizacyjne, trwające (przeważnie prawie niepostrzeżenie) stuleciami.

Po drugie zaś ostatecznie dobijając anachroniczne sny o „marszu z Hitlerem na Moskwę”. Jak można było dokądkolwiek chodzić z kimś, kto przez całe życie okazywał się tylko dzieckiem we mgle, prowadzonym za rączkę i rozgrywanym najpierw w sprawach wewnętrznych, niemieckich, przez wielki kapitał i międzynarodową finansjerę, a potem na polu międzynarodowym przez siły wrogie Niemcom (a także, przy okazji, także całej Europie, a więc, w dalszym planie i Polsce)?

Wielka Wojna była europejską wojną domową, II wojna była domową wojną w wymiarze Eurazji, paradoksalnie jednak – pierwsza przyniosła Polsce chwilową niepodległość, w drugiej atak Niemiec na ZSRR uratował naród polski przed zagładą. Stawia to Polaków nie tylko nieco z boku głównych prądów geopolitycznych tych konfliktów, ale także samonarzuca własne interesy, a więc i oceny partykularnie odmienne niż u reszty świadomych sił świata.

Co nie zwalnia z obowiązku rozumienia jakich gier bywaliśmy pionkami...

Plaża Omaha

Podobnie jak zupełnie na zimno (pomimo, a raczej właśnie w związku z ogromem strat polskich) należy patrzeć na cały przebieg II wojny, w tym na jej punkty kluczowe, cały czas wynikające właśnie z rozgrywki mocarstw o powojenny już układ sił, a faktycznie całą przemianę cywilizacyjną, zapoczątkowaną wieki temu, trwającą nadal w naszych czasach i ukierunkowaną na wciąż nam nieznaną przyszłość. Zwłaszcza w obecnym zamieszaniu pojęciowym w nieskończoność chyba powtarzać trzeba oczywistość – że ludobójcza dla Polaków okupacja niemiecka skończyła się dzięki wspólnym ofensywom RKKA i Wojska

Polskiego, stąd na wydarzenia z dziejów Frontu Zachodniego, takie jak lądowanie w Normandii możemy patrzeć wyłącznie realistycznie – i geopolitycznie.

Po pierwsze jako na próbę wyścigu Amerykanów i Brytyjczyków do Berlina tak, by wbrew ustaleniom mocarstw zwiększyć swój stan posiadania w Niemczech, ale tylko Niemczech (żadna „wolność z Zachodu” do Polski nie szła). Przeciwnie, po wojnie bez bufora w postaci Niemiec komunistycznych – nasza pozycja strategiczna byłaby o wiele gorsza, a zagrożenie granicy zachodniej – większe. Również jej przebieg mógłby być znacznie mniej korzystny dla Polski z Amerykanami stacjonującymi w całym Berlinie...

Trzeba było dopiero Arnhem i Ardenów, by Anglosasi przyjęli do wiadomości, że Sowietów nie wyprzedzą, stąd nagła zmiana stanowiska, nastawienie na „dotrzymanie zobowiązań” i dyplomatyczny podział wpływów, nie tylko zresztą w Niemczech. Skądinąd zresztą skłonność do nadmiernego i zbyt długiego poszanowania zawieranych porozumień długo jeszcze cechowała raczej politykę... radziecką, czego dowiodła postawa Stalina choćby wobec Grecji, jakże kontrastująca choćby z wyłuskaniem przez Brytyjczyków Jugosławii z kształtującego się Bloku Wschodniego.

Po drugie zaś trzeba zauważyć, że od plaży Omaha symbolicznie rozpoczęła się amerykańska okupacja Europy (nieco tylko zaburzana detalami w rodzaju samowyzwolenia Paryża i zwłaszcza późniejszej polityki de Gaulle'a), trwająca nieprzerwanie do dziś, a obecnie rozlana również na Polskę i całą niemal Europę Wschodnią i wzmacniana zapowiedziami zwiększania obecności USArmy, w tym zwłaszcza na terytorium RP. Znowu więc – polska perspektywa pozostaje odmienna niż np. politycznych elit Europy świętujących kolejną rocznie D-Day (też zresztą mocno kontrowersyjną z punktu widzenia narodów europejskich i ich strategicznych interesów). O ile bowiem świętami polskimi, znaczącymi ważne, pozytywne etapy naszej historii – pozostają wyzwolenie Warszawy, zdobycie Kołobrzegu, forsowanie Odry czy

zwłaszcza upadek Berlina, o tyle lądowanie w Normandii to z pewnością NIE NASZA rocznica (i to pomimo daniny krwi i bohaterstwa żołnierzy polskich walczących przedtem i potem na Drugim Froncie).

Chamaechora geopolityki

Przede wszystkim dlatego, że choć wojna ta od Polski się zaczęła i ponieśliśmy w jej wyniku ogromne straty i zniszczenia – to nasza rola w konflikcie mocarstw (a raczej – sił cywilizacyjnych na jednym z etapów kształtowania nowego ładu światowego) – pozostawała czysto przedmiotowa, a w dodatku nieświadoma i dopiero udział w procesie wyzwolenia, a następnie odbudowy kraju oraz współtworzenia odmienionej rzeczywistości geopolitycznej (na pewien czas opóźniającej zamierzenia globalistów) dały Polsce pewne elementy podmiotowości. Co paradoksalne – pomimo faktycznej utraty czy ograniczenia państwowej suwerenności...

W tym właśnie bowiem cała rzecz, że Polska jest taką chamaechorą geopolityki (czyli tym krzaczkiem bez korzeni, turlającym się na wietrze w ostatnich kadrach westernów). Gdzieś czasem coś nas zagna – ale woli w tym naszej niewiele... Przed i w trakcie Wielkiej Wojny byliśmy przynajmniej przygotowani na zmiany koniunktury międzynarodowej, a gdy zaszły tak znaczne, że ciężko je było sobie nawet wcześniej wyobrazić – dysponowaliśmy szkołą polityczną umiejącą dostosować się i twórczo wykorzystać zachodzące wokół transformacje. Zanik tych zdolności w polskich elitach politycznych, ich intelektualne osłabienie, znowu paradoksalnie – w warunkach niepodległości (przynajmniej formalnej, bo przecież już nie finansowo-ekonomicznej, a na końcu nawet i nie dyplomatycznej) przyniósł klęskę roku 1939, której ani przyczyn, ani realnych skutków polskie kierownictwo polityczne nie zrozumiało w praktyce już do końca wojny. Dopiero pojawienie się nowych sił, dostosowanych do nowych konieczności dziejowych – pozwoliło na odrodzenie po roku

1944, a nawet wspomniane uzyskanie przez Polskę elementów pewnej podmiotowości (acz w obrębie większego organizmu geopolitycznego). Od tamtej jednak pory ponownie datuje się regres, trwający aż do dzisiejszego upadku nie tylko znaczenia Polski, ale i świadomości tak procesów historycznych, jak i momentu transformacyjnego, w którym być może znowu się zajmujemy.

Pomimo więc naszej co najwyżej przyczynkarskiej roli politycznej w wydarzeniach ostatnich stu lat – odbudowa przynajmniej podstaw rozumienia otaczającego nas świata, w tym wydarzeń, do których nas włączono (także w perspektywie historycznej) wydaje się absolutnym minimum, bez którego dalsza nasza historia po raz kolejny zostanie Polakom podyktowana. I to co najwyżej w mocno pobieżnych i solidnie zafałszowanych skrótach – czyli zupełnie jak przypomniane tu elementy dziejącej się wokół największej z gier, w której my jesteśmy tylko zeschniętą kulą wywiewaną coraz bliżej pustyni.

Zwłaszcza, że przecież największa z gier światowych jeszcze nie dobiegła końca. I nie skończy się nigdy. Pesymista powie: „Tym gorzej dla nas!” Optymista: „Uff, czyli jeszcze trochę przevegetujemy...!” A realista? Że zawsze jest dobry moment, aby zmańdrzeć.

Autorstwo: Konrad Rękas

Źródło: NEon24.pl

Postscriptum

Jak pamiętamy 17 sierpnia 1987 r. – odcięty od świata 93-latek z artretyzmem ostatecznie zmylił strażników Spandau (nb. amerykańskich tego dnia), pobiegł chyżo do znienacka opuszczonego domku ogrodnika, niewładnymi dłońmi zaplótł sobie kabelek i wykonując mistrzowską operację zadzierzgnięcia pętli podczas siedzenia na krześle – popełnił samobójstwo. A już następnego dnia rzeczony kabelek, krzesło i resztę jego rzeczy spalono, burząc przy okazji całe ogromne więzienie,

przypadkowo mając pod ręką cały sprzęt budowlany.

Przypisy

[1] RKKA ustawiona była dynamicznie, do zmiany, czyli teoretycznie powinna móc uformować obronę, jak i przejść do ataku. Nie było to jednak ustawienie typowo ofensywne, a potem to już blitzkrieg zrobił swoje.

[2] Za co zresztą sam Heß zapłacił, jak wszyscy poprzedni zwolennicy pokoju (choć warto pamiętać, że w tym wypadku miał to być pokój mający tylko ułatwić eksterminację Słowian, w tym Polaków – na wypadek, gdyby ktoś chciał się rozczulać nad dalszymi losami tego naiwnego nazisty...).